

Iwona Barwicka-Tylek

Cnotliwy obywatel – dobre prawo – skuteczna władza.

Myśl polityczna XX-lecia międzywojennego w poszukiwaniu fundamentów silnego państwa

Stanisław Grabski pisał: „Tak jak młodzieniec, trzymany despotycznie w przymusowym posłuszeństwie, sam siebie nie zna, póki nie zacznie żyć własną wolą, podobnie obecne pokolenie narodu naszego rozpoczęło niepodległy byt państwowy bez dokładnej znajomości Polski”. Przez 123 lata interesy poszczególnych grup polskiego społeczeństwa, preferowane przez nie metody działań politycznych i wizje właściwego porządku różniły się znacząco między sobą, ale wszystkie znajdowały się w jednym worku, mocno zawiązanym na supeł przez państwa zaborcze. Byłoby naiwnością sądzić, że ta wspólna kondycja pozwoli je ze sobą pogodzić i scalić. Kiedy worek zniknął, szybko stało się jasne, że wysypane z niego propozycje polityczne trudno będzie połączyć w jedną polityczną wolę. Zresztą wrażenie, że Polska stanowi dosyć luźno powiązany zbiór elementów, potęgowała sama rzeczywistość: konflikty na tle narodowościowym, społecznym, różne systemy prawne, odmienne tradycje gospodarcze, a nawet brak połączeń kolejowych między dawnymi dzielnicami. Wszystko to sprawiało, że linie przeróżnych podziałów nakładały się na siebie, tnąc młody organizm państwowy na trudne do scalenia części. Polska wydawała się krajem złożonym z „trzech nierównych połówek” (Stefan Żeromski) „zszytych tylko grubym ścięciem” (Michał Bobrzyński). Choć podkreślano na ogół (a przynajmniej chciano w to wierzyć), że II Rzeczpospolita jest kontynuatką Pierwszej, to jednak była to ciągłość jedynie pod względem prawnym; co do konkretnych instytucji i urzędzeń, musiały być one tworzone od podstaw i to, jak zauważał Stanisław Thugutt, „w szczerym polu”.

W tej sytuacji wszystko, co łączyło skonfliktowanych polskich obywateli, a zwłaszcza politycznie aktywną ich część, nabierało szczególnego znaczenia. Stanowiło ważną motywację, pozwalającą przewycięzać wzajemne animozje i mierznie budować odrodzone państwo.

Na takie dwa czynniki funkcjonujące „ponad podziałami” i na ich konsekwencje dla ówczesnej myśli politycznej chciałabym zwrócić uwagę. Pierwszy to

aprecjacja instytucji państwa, postrzeganej nie tylko jako narzędzie politycznej organizacji społeczeństwa, ale wręcz jako samoistna wartość lub warunek realizacji innych wartości. Ze względów historycznych tradycja polska – czy ta spod znaku oświecenia, czy też późniejszego emocjonalnego romantyzmu i spokojniejszego, lecz równie wrażliwego na tym punkcie pozytywizmu – głosiła, iż państwo jest szczególną wartością w życiu każdej wspólnoty i jednym z warunków jej funkcjonowania. Pojęcia „państwo” używano przy tym nie tyle w sensie prawnym, ile przede wszystkim w znaczeniu, jakie nadał mu Stanisław Ossowski, mówiąc o ojczyźnie ideologicznej. Polska była podmiotem prawa międzynarodowego, ale przede wszystkim była dobrem wspólnym, własnością obywateli, bytem moralnym, który domagał się lojalności i szacunku. Drugim ogólnie akceptowanym przekonaniem była zgoda na uczynienie z Polski państwa republikańskiego i demokratycznego. Była ona w niektórych przypadkach koniunkturalna i wymuszona okolicznościami, ale wyznaczała ramy dyskusji politycznych, także po przewrocie majowym. Przywiązanie do republiki również można by wywodzić z tradycji polskiej, szlacheckiej, ale ten spadek obciążony był licznymi długami. Rozstrzygających argumentów na korzyść republiki dostarczała prosta obserwacja – to właśnie państwa tego typu (plus monarchiczna, ale głównie z nazwy, Wielka Brytania), a nie silne, jak się jeszcze w roku 1917 wydawało, scentralizowane monarchie zwyciężyły w Wielkiej Wojnie. Nic więc dziwnego, że na powojennej mapie Europy zaczął dominować ten model ustrojowy.

Oba wyróżnione czynniki miały charakter aksjologiczny, a więc należały do zbioru podstawowych, ogólnych założeń, które każde z ugrupowań politycznych nasycalo własną treścią i własnymi propozycjami szczegółowymi. Wyjątek stanowili komuniści, dyskredytujący wartość niepodległości i suwerenności państwowej, oraz część konserwatystów, przywiązana do idei monarchicznej. Wpływy obu tych grup były jednak w społeczeństwie nikłe.

Specyficzne, moralne zabarwienie międzywojennej refleksji politycznej jest na tyle wyraźne, że można by je uznać za charakterystyczny dla polskiego międzywojnia sposób myślenia politycznego. Uznanie tego faktu jest, moim zdaniem, istotne dla zrozumienia ówczesnych burzliwych debat politycznych, a także bieżącej polityki wiodących stronnictw. Pozwala bowiem odtworzyć ożywiające je sądy, argumenty, przekonania, słowem – zaplecze teoretyczne. Nie zawsze było ono formułowane *expressis verbis*, o czym przekonują choćby słowa Stanisława Grabskiego, narzekającego na brak „jasnej myśli politycznej”. Gdybyśmy jednak jako historycy podzielali pesymizm Grabskiego, przyszłoby nam jedynie zestawiać i porównywać międzywojenne programy partyjne czy artykuły publicystyczne, bez próby ich interpretacji, poszukiwania uzasadnień czy wyciągania ogólniejszych wniosków, dotyczących ogólnego charakteru myśli międzywojennej. Sądzę jednak, że taki pesymizm jest nieuzasadniony. To prawda, że ówczesna rzeczywistość była zdominowana przez praktykę, konkretne działania polityczne, bieżące

wyzwania społeczne, a to powoduje, jak ocenia Janusz Pajewski, pewien „bezwład myśli”. Ale istotą tego bezwładu nie jest teoretyczny paraliż, lecz spontaniczne sięganie do teorii utrwalonych, zakorzenionych w kulturze lub przejętych od innych. Nie ma bowiem działania, zwłaszcza jeśli ma ono osiągnąć jakieś cele, bez wiedzy, a więc bez myślenia.

Jakie zakorzenione w europejskiej i polskiej tradycji schematy myślenia politycznego przezierają zza międzywojennych dyskusji? Chciałabym tu przedstawić garść własnych przemyśleń. Są to właściwie dosyć ogólne hipotezy dotyczące ówczesnych zapatrywań na kwestię fundamentów silnego państwa; konkretnie – silnej republiki.

Refleksja polityczna, poświęcona zaletom ustrojów respektujących wolność obywateli i uzależniających władzę od ich woli, jest ogromna. Pracowały na nią stulecia. Była to jednak zawsze tradycja niejednorodna, w której nie brakowało istotnych różnic zdań. Można w zasadzie wyróżnić dwie różne linie rozumowania, które wiodły do aprobaty republikańskich ideałów. Nazwałabym je nurtem maksymalistycznym i minimalistycznym.

Punkt wyjścia nurtu maksymalistycznego można streścić w zdaniu: podstawą państwa są obywatele, a obywatele zasługują na przyznanie im podmiotowości politycznej. Odpowiedź na pytanie, dlaczego zasługują, pozwala wyróżnić dwie odmiany tego poglądu. Pierwsza, wywodzona m.in. ze szkoły praw natury, argumentuje, że człowiek jest istotą dobrą i racjonalną, co sprawia, że już w stanie natury przysługują mu określone uprawnienia, z których korzysta, nie naruszając wolności innych. Byłoby nielogiczne, gdyby przemiana człowieka naturalnego w obywatela miała oznaczać pogorszenie jego sytuacji i ograniczenie wewnętrznego potencjału jednostki. Druga odmiana tego samego stanowiska ma korzenie starożytne i jest mniej optymistyczna, jeśli chodzi o naturalne przymioty jednostek. I ona jednak przyznaje, że obywatel w państwie republikańskim jest lepszym obywatelem, co uzasadnia prymat tego modelu ustrojowego. Instytucje republikańskie umożliwiają bowiem ciągłe doskonalenie jednostek: pobudzają ich aktywność, uczą odpowiedzialności za swój los, przyzwyczajają do sprawiedliwego postępowania, kształcą zaangażowanie w życie wspólnoty. W obu wersjach stanowiska maksymalistycznego uzasadnieniem republiki jest jej moralna wyższość nad innymi ustrojami, a warunkiem i celem istnienia – cnotliwość (w starożytnym sensie ogólnej „uczciwości”, „bycia porządnym człowiekiem”) obywateli.

Zwłaszcza na początku debaty nad kształtem ustrojowym państwa zdawały się dominować takie właśnie maksymalistyczne oczekiwania. Obywatele polscy zasługiwali na swoje instytucje, bo przez lata walczyli o możliwość ich tworzenia. Prawda, istniały różnice co do konkretów, ale uważano je za drugorzędne. Wydawało się, że wspólna ojczyzna ideologiczna jest wystarczająco mocnym gruntem dla zakorzenienia jednostek i źródłem zdolnym determinować kształt ich więzi z innymi jednostkami. Nie doceniano podziałów partyjnych, animozji personalnych,

wagi konfliktów grupowych czy strukturalnych blokad rozwoju, które musiały się przekładać na kształt realnej Polski. Wrażenie jedności na głębszym poziomie wartości przyszło bardzo szybko, a po uchwaleniu konstytucji w 1921 r., po zabójstwie prezydenta Gabriela Narutowicza i inwektywach Naczelnika Józefa Piłsudskiego pod adresem nowo ukonstytuowanego Sejmu mówienie o niej brzmiało wręcz jak niesmaczny żart. Z tą sytuacją można było sobie radzić na dwa sposoby. Po pierwsze, każde z ugrupowań z osobna zaczęło się uważać za reprezentanta „lepszego” części „duszy polskiej”. Dla ludowców takim „najgłębszym, najbardziej jednorodnym, najczystszy pokładem” (jak pisał Thugutt) była dusza chłopca. Dla narodowców – czysto polska dusza katolika. Dla piłsudczyków – drzemiąca w każdym dusza staropolskiego patrioty. Nawet socjaliści podkreślali, że postulat uspołecznienia własności ma nie tylko wartość ekonomiczną, ale promuje „wyższą moralność i wyższą kulturę wolnego człowieka” (dokumenty programowe z 1920 r.). Tymczasem jednak żadna z tych „dusz” nie zdołała przejąć kontroli nad pozostałymi – społeczeństwo okazało się podzielone bardziej według interesów niż wartości. Dlatego na swych reprezentantów wybierało nie zawsze tych, którzy uważali się za takich z racji ideologicznych. Najdobitniej odczuli to ludowcy, przekonani w pierwszych latach niepodległości, że liczebność chłopstwa powinna się automatycznie przekładać na zdecydowane zwycięstwa wyborcze chłopskich partii. W sytuacji, kiedy chłopci stanowili większość społeczeństwa, uzyskanie około 1/3 mandatów zadowalać nie mogło.

Pozostawała modyfikacja niektórych założeń. Nie musiało to oznaczać kwestionowania dojrzałości politycznej obywateli, a jedynie zastrzeżenie, że wprowadzone przez konstytucję mechanizmy – dominacja Sejmu, zasada proporcjonalności – przeszkadzają w artykulacji i realizacji rzeczywistych interesów społeczeństwa. Taką argumentację przedstawiał wycofujący się z życia publicznego Piłsudski. Na ogół jednak ugrupowania toczące walkę na forum parlamentu wołały oskarżać obywateli raczej, a nie instytucje. Krytykowano więc najczęściej brak „politycznego wyrobienia” społeczeństwa, skutkujący rozbięciem sceny politycznej i utrudniający sprawne rządzenie. Dla socjalistów była to nieunikniona konsekwencja zaszczytu historycznych, a sposób, w jaki chcieli z nią walczyć (przynajmniej do lat trzydziestych), przypominał pod pewnymi względami „terapię szokową”. Proponowali bowiem dalsze rozszerzanie demokracji, np. przez wprowadzenie instytucji demokracji bezpośredniej, które przyspieszyć miało proces politycznej edukacji obywateli, choć przejściowo mogło potęgować chaos. Narodowcy winą za wypaczenia „sejmokracji” obarczali mniejszości narodowe i domagali się ograniczenia ich politycznego wpływu przynajmniej do czasu asymilacji narodowości ukraińskiej i białoruskiej oraz usunięcia Żydów i Niemców. Sposobem na przewyciężenie paraliżu młodego państwa było m.in. poszukiwanie dróg oddolnego oddziaływania na obywateli – stąd np. tak wielka waga przywiązywana przez wszystkie ugrupowania do działalności społecznej i samorządowej. Z chwilą powstania państwa

wydawać się mogło, że działające pod zaborami organizacje, stowarzyszenia, kółka rolnicze – przez sto lat kojarzone z misją obrony polskości – zostaną odciążone od zadań o charakterze moralnym i będą mogły zająć się codzienną działalnością statutową. Tak się istotnie stało, ale bardzo szybko wiele z nich wróciło do dawnej rangi. Powstawały także nowe, deklarujące wprost troskę o oddolną odnowę moralną. Szczególnym polem działania była aktywność w ramach struktur samorządowych, bo – jak przekonywali ludowcy i osobisty przykład Wincentego Witosa – „kto rządzi w gminie, rządzi w państwie”.

We wszystkich przypadkach ocena bieżącej polityki przez pryzmat maksymalistycznej koncepcji republiki potęgowała rozczarowanie. Jak zauważają badacze, krytyka rzeczywistości politycznej zdawała się zupełnie nie dostrzegać pozytywnych aspektów funkcjonowania urządzeń demokratycznych. Umożliwiały one ujawnianie na drodze pokojowej istniejących konfliktów interesów, a przez to stabilizowały napiętą sytuację w kraju. Przytaczane jako dowód kompromitacji rządów parlamentarnych kłótnie między stronnictwami nie były przecież sprzeczkami zrodzonymi li tylko z walki o władzę. Stały za nimi faktyczne, głębokie i trudne do usunięcia podziały społeczne, grożące w każdej chwili niekontrolowanym wybuchem.

Rok 1926 można by uznać za znaczący przełom i przejściowy sukces minimalistycznych koncepcji republikańskiego państwa. Minimalistycznych, ponieważ zgoda na ten model ustrojowy nie musi tu oznaczać docenienia jego walorów moralnych. I tutaj można dostrzec istotne różnice między dwoma stanowiskami. Oba popierają republikę i umocowanie państwa oraz jego instytucji w woli większości z uwagi na pragmatyczne aspekty takiej legitymizacji – silniejsze uprawnocnienie porządku politycznego. Pierwszemu chodzi jednak przede wszystkim o uprawnocnienie systemu prawnego. Jak zauważał już Marsyliusz z Padwy, ludzie chętniej słuchają tych praw, które uważają za swoje własne. Jeśli dodamy do tego, że porządek prawny ma jedynie zapewniać ład i bezpieczeństwo, a więc głównie eliminować krzywdzące innych zachowania jednostek, nie zaś je doskonalić, minimalistyczny charakter tego stanowiska stanie się jasny. Podobna argumentacja towarzyszy innej minimalistycznej koncepcji, która eksponuje skuteczność nie tyle samego prawa, co zaaprobowanego przez większość podmiotu sprawującego władzę.

Sądzę, że w czasie zamachu i krótko potem obie te minimalistyczne wersje spletały się ze sobą i wpływały na działania wszystkich stron konfliktu. „Sejmokracja” okazała się złym sposobem na rządzenie państwem, bo nie potrafiła stworzyć jasnych ram porządku publicznego. Z uwagi na rozdrobnienie Sejmu niemożliwe okazało się przeprowadzenie na drodze parlamentarnej reform koniecznych do zmiany tego stanu. Dlatego zgodzić się należy z diagnozą Adama Krzyżanowskiego, że „przewrót majowy był łącznym dziełem Marszałka i jego przeciwników”, a do radykalnego rozstrzygnięcia parły wszystkie główne siły polityczne. Państwo

nie spełniało kryteriów maksymalistycznego modelu zdrowej republiki, należało więc nieco obniżyć stawiane mu wymagania, a jednocześnie znaleźć lekarstwo na dręczące organizm państwowy choroby.

Przewrót miał być swego rodzaju nowym rozdaniem kart, a jak uczył Thomas Hobbes: „nie można naprawić zepsutej gry w państwo inaczej, jak tylko na nowo tasując karty”. Politycznym celem Piłsudskiego była zmiana systemu parlamentarnego na system prezydencki, czyli pozostanie przy formule demokratycznej. Z różnych względów było to jednak trudne, zwłaszcza że starano się unikać rozwiązania siłowego z uwagi na możliwe konsekwencje i wewnętrzne, i na forum międzynarodowym. Do wyboru był autorytaryzm i totalitaryzm, lub coś pośredku, na wzór włoski. Ewolucja w tym kierunku oznaczała jednak zgodę na obniżenie prestiżu prawa, a wyeksponowanie samego podmiotu sprawującego władzę. Nie było to trudne – nie przeszliśmy w XVIII wieku szkoły legalizmu, jaką była rzeczywistość oświeconego absolutyzmu, a w czasie zaborów nasza niechęć do prawa państwowego jeszcze wzrosła. Ku rozpaczy więc teoretyków prawa obywatela II Rzeczypospolitej mieli słabo rozwiniętą świadomość prawną, i to nie tylko w zakresie zobowiązań, ale nawet własnych roszczeń. Na bankiecie wydanym w Krakowie z okazji przyznania Piłsudskiemu tytułu doktora praw *honoris causa* mógł on stwierdzić nonszalancko, że w istocie był zawsze „zawodowym kryminalistą”, nieszukającym „broń Boże” pomocy prawników, bo są oni bezużyteczni, kiedy trzeba działać szybko.

Fundamentem Polski pomajowej stał się w tej sytuacji autorytet władzy. Fakt, że skupiała się ona w rękach Piłsudskiego, nawet jeśli nie pełnił on najważniejszych funkcji w państwie, pozwalał tylnymi drzwiami wprowadzić z powrotem do teoretycznej podbudowy działań politycznych wartości moralne. Jak ładnie napisał Stanisław Rosiek, Piłsudski był „żywą obecnością tradycji narodowych, istotą cmentarną, bo symboliczną i skompilowaną z wielkich umarłych, z mitycznych person polskiej historii”. Był więc zmaterializowaną postacią ideologicznej ojczyzny, o której marzono u początków II Rzeczypospolitej. Silna, skuteczna władza miała być środkiem wzmacniającym wątły organizm Polski, lekiem na jej dolegliwości. Ta rola miała przypaść Piłsudskiemu. Czytając wypowiedzi zwolenników czy wyznawców Piłsudskiego, można odnieść wrażenie, że dla nich Polska to „Rzeczpospolita plus Piłsudski”, że bez niego ta Rzeczpospolita, jak bez codziennej porcji witamin, właściwie funkcjonować nie może. Nie ograniczono się więc do zmiany rządu – chodziło o sanację: uzdrowienie stosunków politycznych, a przez to o odrodzenie, także moralne, całego państwa.

Już w pierwszych tygodniach po zamachu Piłsudski uczynił wiele, żeby powrócić na tory legalizmu. Ułatwiła to dymisja prezydenta Stanisława Wojciechowskiego i rządu oraz rozsądna postawa marszałka Sejmu Macieja Rataja. Nie uczynił jednak tego, czego powszechnie oczekiwano – nie przyjął dokonanego przez Zgromadzenie Narodowe wyboru na nowego prezydenta. Już to upokorzenie parla-

mentu wskazywało dobitnie, że władza sprawowana przez Marszałka nie zmieści się w ramach wytyczonych przez ogólnie przyjęte procedury. Jak wspominał Rataj, piłsudczycy budowali i poruszali się w „pasie neutralnym” między prawem a bezprawiem. Prawo, podobnie jak władza, miało być jedynie narzędziem osiągnięcia określonych celów politycznych, określonego stanu społeczeństwa. Dlatego odpowiedzialność osób sprawujących władzę, w tym Piłsudskiego, miała być odpowiedzialnością moralną – ich działania weryfikowała skuteczność w trosce o „imponderabilia” (jedno z ulubionych słów Marszałka).

Zwraca się uwagę, że system autorytarny, jakim były rządy pomajowe, charakteryzuje się m.in. depolityzacją życia publicznego. Porównanie ustrojów autorytarnych i totalitarnych, czy to autorstwa Juana Linza, czy Carla Friedricha i Zbigniewa Brzezińskiego, uznaje ten fakt za jedno z ważniejszych kryteriów różnicujących te modele. Władza autorytarna jest zainteresowana władzą po prostu, więc nie dzieli się nią z nikim, proponując obywatelom zastępczą realizację własnych ambicji w sferze społecznej, gospodarczej czy kulturalnej. Sanacyjna argumentacja na rzecz depolityzacji przebiegała jednak nieco innymi torami. Polityka i rozpolitykowanie społeczeństwa kojarzone były z utrwalaniem podziałów, które rozmywają ideę wspólnej Polski i utrudniają konsolidację sił niezbędną dla jej rozwoju. Widać tu swoisty okrężny powrót do maksymalistycznych nadziei pod adresem II Rzeczypospolitej, która miała pozostać „rzeczpospolitą” nie tylko z nazwy. Piłsudczycy podzielali nadzieję, że ich władza wychowa „cnotliwszych” obywateli i ulepszony republikę. Jak jeszcze w 1923 r. pisał socjalista Stanisław Posner, „republika potrzebuje wiary w republikę, wielkiej idei, która będzie wychowywać obywateli i skłaniać ich do zachowań podtrzymujących jej trwanie”. Takiej wiary w międzywojniu nie brakło. I – moim zdaniem – pozwoliła ona myśli politycznej, po pewnym szoku 1926 roku powrócić stopniowo do maksymalistycznych żądań pod adresem państwa.

Wprawdzie po śmierci Piłsudskiego ta wiara została przyćmiona walkami o schedę po Marszałku. Wprawdzie główni oponenti sanacji – narodowcy – stawali się coraz bardziej zafascynowani praktykami włoskiego faszyzmu, ale mówiąc „państwo” – nadal odnoszono się nie tyle do instytucji, ile do nasyconego wartościami obrazu ojczyzny. Te wartości były wcześniejsze od państwa, bo wpływały na zachowania jednostek nawet wówczas, gdy państwa nie było, i ten fakt – myślę – miał swoje znaczenie. Przede wszystkim odstręczał od totalitaryzmu (totalizmu), w którym ta relacja jest odwrócona – zakłada się tam, że poznanie wartości wspólnotowych jest możliwe tylko poprzez struktury państwa. Poza kontrowersyjnymi i uzasadnianymi nie-totalitarnymi argumentami propozycjami ONR-u, a właściwie jego skrzydła związanego z Bolesławem Piaseckim, totalitaryzm nie miał wielu zwolenników. Można zauważyć, że najbardziej pociągającym aspektem władzy Hitlera w Niemczech i Mussoliniego we Włoszech był w oczach ich admiratorów wpływ na społeczeństwo – aktywizacja obywateli, promowanie

zaangażowania na gruncie wspólnych wartości itd. Doceniano faszystowskie wychowanie obywatelskie, zalety pedagogiki wspartej zaangażowaniem politycznym, ale i w tej fascynacji nie brakowało charakterystycznej rezerwy, związanej właśnie z poczuciem pewnego „odwrócenia naturalnego porządku”. Raził kult państwa, bo tradycja polska nauczyła utożsamiać je z bliską każdemu sercu ojczyzną, której obraz „wypijamy z mlekiem matki”. Odpowiednia władza i organizacja pomagały realizować jej interesy, ale nigdy nie były jedynymi podmiotami zdolnymi do ich wyartykułowania. Dlatego obarczano je odpowiedzialnością za podejmowane decyzje – moralną wprawdzie, ale w społeczeństwie nieprzywykłym do rządów prawa była to odpowiedzialność realna i równie ważna, co odpowiedzialność prawna. Wbrew wnioskowi płynącemu z konstytucji kwietniowej, rządzący nie odpowiadali wyłącznie przed „Bogiem i historią”. Ich działania oceniali sami obywatele, bo działania te, podobnie jak działania obywateli, normowane były przez te same i ogólnie akceptowane wartości, jak honor, odwaga, godność. Nie były to jedynie wygodne pojęcia, ale ważne kategorie polityczne, które udowodniały, że władza i społeczeństwo muszą być sądzone według tej samej miary, a to powstrzymywało myślicieli politycznych przed bezkrytycznym przejmowaniem wzorców faszystowskich.

Myślę, że takie specyficznie nasze, pozaborowe przywiązanie do aksjologicznego postrzegania Polski i związane z tym ogromne i moralne oczekiwania wobec instytucji państwa wzmocniły w pierwszych latach po odzyskaniu niepodległości frustrację i niezadowolenie – nie takie okazało się społeczeństwo, nie tacy jego reprezentanci, nie takie organy władzy. Frustracja m.in. obniżała poziom kultury politycznej, co w roku 1926 ułatwiło dokonanie zamachu. Te same czynniki jednak w latach trzydziestych – trochę paradoksalnie – powstrzymywały ewolucję sympatii politycznych w kierunku totalitarnym. Być może ten stan uległby zmianie, gdyby historia darowała nam kilka czy kilkanaście dodatkowych lat pokoju, a myśl polityczną zasilili poglądy wzrastające w całości na gruncie doświadczeń z pierwszych lat niepodległości.

W szerszej perspektywie można by zauważyć, że polskie międzywojnie utrzymało w mocy założenie oświeceniowych reformatorów: żeby zbudować silne państwo, trzeba najpierw wykształcić cnotliwych obywateli. Ale żeby zyskać cnotliwego obywatela, trzeba najpierw dostrzec w nim i rozwinąć uczciwego, dobrego człowieka. A to oznacza zgodę na uznanie przez instytucje państwa wolności jednostek, które zawsze są czymś więcej niż tylko obywatelami. Naturalnym dopełnieniem takich przekonań jest zaangażowanie tychże jednostek we współtworzenie państwa, czyli akceptacja założeń ustroju republikańskiego w najbardziej wymagającej ich wersji. Myślę, że był to jeden z wielu charakterystycznych rysów międzywojennych debat politycznych.

Swe wystąpienie chciałabym zakończyć dłuższym cytatem autorstwa Konstantego Grzybowskiego, zamieszczonym w Biuletynie Krakowskiego Koła Związku Inwalidów Wojennych RP z 1938 r. Wypowiedź to o tyle charakterystyczna,

że sformułowana z okazji rocznicy takiej jak dzisiejsza, tyle że młodszej o siedemdziesiąt lat: „Na okres 20 lat niepodległości zapatruje się w Polsce z różnych, a nieraz sprzecznych punktów widzenia. Uroczystościowo-rocznicowy punkt widzenia polega na entuzjazmie, iż uczyniliśmy w ciągu tych lat dwudziestu tak wiele. Płytko-porównawczy punkt widzenia znów ogranicza się do narzekania, iż dystans między nami a innymi państwami jest tak wielki. Dzielnicowo-krytyczny punkt widzenia wyraża się często w ubolewaniu, iż w stosunku do dzielnic zachodnich i południowych następuje »równanie w dół«. Podkreślający wagę stosunków demograficznych ubolewają znów, że nie potrafimy zatrudnić wszystkich polskich rąk do pracy. Wojowniczy antysemita wołają, iż Polska coraz bardziej opanowywana jest przez żywoity żydowskie. Po rocznicowym entuzjazmie przychodzą 364 dni w roku, w których robimy smutny, a niekoniecznie słuszny, codzienny rachunek braków i zaniedbań”.

Słowa Grzybowskiiego uprzytamniają nam zamęt, w jakim humaniści i politycy dwudziestolecia zmuszeni byli formułować swe diagnozy, dotyczące bieżącego stanu państwa i pożądanego kierunku jego rozwoju. Nic dziwnego, że poszczególne sądy, stanowiska i koncepcje polityczne wydawały się tak odmienne i rozczłonkowane. W naturalny sposób późniejsi badacze myśli politycznej przejęli podobny sposób analizy, którego owocem jest bogata literatura poświęcona programom poszczególnych ugrupowań lub ich stosunkowi do konkretnych zagadnień, takich jak np. debata konstytucyjna czy idee gospodarcze. Sądzę, że upływ czasu pozwala dzisiejszym historykom pokusić się także o refleksję bardziej ogólną, kreślącą charakterystykę międzywojennej myśli politycznej postrzeganej jako specyficzna i warta uwagi całość. Łatwiej dostrzec wówczas jej związki z wcześniejszą – polską i obcą – tradycją filozoficzną oraz zrozumieć pokrewieństwa i różnice między międzywojnem polskim i poglądami funkcjonującymi w innych częściach Europy.